

Pass Laboratories XP-30 & XA 100.8 „Żarty się skończyły”



Firmę, na którą podczas lektury moich po-testowych wrażeń poświęcicie kilka cennych minut swego życia, bez najmniejszego naciągania faktów, można nazwać kultową. I nie chodzi mi tylko o kraj pochodzenia, czy walory soniczne - oczywiście te aspekty również niosą swój ciężar rozpoznawalności, ale o niezliczone opcje klonowania przez bardziej wyedukowane „złote ręczki” jej prawie wszystkich pojawiających się na rynku konsumenckim konstrukcji, w czym notabene Pan Nelson (ups. za wcześniej się wygadałem) świadomie pomaga na wielu forach internetowych. Nie ważne, że owa grupa piewców znakomitości tejże manufaktury nie zbudowała dwóch podobnych egzemplarzy - nawet w oparciu o tę sama kopię schematu elektrycznego każdy z nich buduje z tego, co zalega szufladach, wystarczy, że pracują nad idąc za opiniami w eterze, a teraz ma się potwierdzić, wysmienicie generującą muzykę myślą techniczną. Ale zostawmy naszych DIY – owców i przejdźmy do meritum. Do przedstawienia bohatera dzisiejszego testu posłużę się małym quizem. Jeśli coś wizytujące nasze progi jest wielkie, ciężkie i przybyło z za wielkiej wody, to jaki kraj może reprezentować? Oczywiście Stany Zjednoczone. Brawo. A jeśli wcześniej wspominałem o upodobaniu do klonowania, to co w pierwszej chwili przychodzi Wam do głowy? Tak jest, PASS. Zatem zapraszam na spotkanie z co prawda nie (do końca) szczytowymi, ale jak na polskie realia, już nie tanimi rejonami portfolio amerykańskiego PASS-a, w postaci zestawu pre-power, czyli rozbudowanego do trzech modułów przedwzmacniacza XP-30 i dwóch monobloków XA-100.8. A przygodę z ową marką umożliwił nam znakomicie znany z szerokiej gamy high-endowych produktów, pieczętujący tym testem oficjalne przejęcie dystrybucji w naszym kraju warszawski Audio Klan.



Jak wygląda Pass? Oczywiście jest duży, a za sprawą zaimplementowanych solidnych elementów wewnętrznych chodzi w wadze ciężkiej. Na szczęście dla niego nie jest zbyt urozmaicony wzorniczo, gdyż ekipa odpowiedzialna za design wie, że przy takich gabarytach szaleństwo z ornamentyką raczej się nie sprawdzi. Głównym motywem przewodnim końcówek mocy jest zgrabnie ścięty na krawędziach zewnętrznych gruby i wysoki płat frontu z drapanego aluminium. Ale Pass nie byłby Pass-em, gdyby na przywołanych płaszczyznach nie występowały łatwo rozpoznawalne podświetlane na niebiesko okrągłe wskaźniki wychyłowe poziomuysterowania. Niestety z racji tego, że moje kolumny są raczej łatwe do napędzenia, owe mierniki nie miały zbyt wiele pracy. Ale nie łudźmy się, nawet przy połykających każdą dawkę energii smokach kolumnowych, pręciki wskaźników nie zatańczą tak jak w McIntoshu. Pod wspomnianymi bijącymi niebieską łuną cyferblatami widzimy jeszcze okrągłe włączniki i promieniujące na boki od nich, a przelamujące monotonię sporej płaszczyzny podfrezowania. Jak można się zorientować, dostajemy prosty, ale ze smakiem wprowadzony w życie projekt. Przemierzając konstrukcje ku tyłowi, naszym oczom ukazują się perforowane w celach chłodzenia grawitacyjnego wieka obudów i okalające je masywne radiatory pełniące rolę bocznych ścianek. Tył monosów z racji prozaicznego wzmacniania pojedynczego kanału, otrzymał jedynie: gniazdo sieciowe, włącznik główny, podwojone dla bi-wiringu terminale głośnikowe, po jednym wejściu RCA i XLR i pomagające w procesie logistyki rączki. Ot i cała filozofia wzornicza tych amerykańskich wzmacniaczy. Nieco

inaczej ma się z sprawą przedwzmacniaczem. Tutaj w ramach rozmachu konstrukcyjnego podzielono go na trzy komponenty, połączone ze sobą terminalami komputerowymi. Jednostka centralna może pochwalić się: usytuowanym nieco poniżej osi poziomej i centralnie zaimplementowanym co prawda wąskim, ale bardzo czytelnym piktogramowym niebieskim wyświetlaczem, czterema guzikami sterującymi na lewej i dużą gałką wzmocnienia na prawej flance. Dwa dodatkowe moduły są osobnymi dla każdego kanału układami wzmocnienia owego przedwzmacniacza, z przyprawiającą o zawrót głowy ilością wejść i wyjść w odmianach RCA i XLR. Zaręczam, że racjonalnemu użytkownikowi ciężko byłoby wykorzystać wszelkie możliwe połączenia, ale pomysłodawca opisywanego modelu dla spokoju ducha wykorzystał całe plecy, jako ich dawcę. Dla ujednolicenia wyglądu całego zestawu wzmacniającego sygnał, front przedwzmacniacza podobnie jak monobloki w dolnej części zdobi gruby frez i muszę powiedzieć, że naprawdę jest to ważny element spójności wizualnej.



Elektronika Pass-a, jak prawie każda inna ma swój ogólnie znany i kojarzony z daną marką sznyt prezentacji. Oczywiście w zależności od wtajemniczenia – czytaj pozycji w cenniku – ten pierwiastek przynajmniej w teorii zbliża się do neutralności, ale ogólnie gęstego grania dołem, dociążonym środkiem i posłodzoną górą pasma prawdopodobnie ciężko będzie mu się pozbyć. A jestem w stanie postawić kilka dukatów w zakładzie, że jeśli tak się stało, jego ogólnie pojmowana atrakcyjność mogłaby znacznie ucierpieć. Brać audiofilska wie, że gdy chcesz homogeniczności i dużej przyjemności słuchania bez napinania na szybkość dźwięku, jednym z adresów jest właśnie opisywany producent. Koniec, kropka. Idąc za powyższymi wskazówkami i pragnąc zakosztować ich walorów, swoją przygodę z przybyłym zestawem pre-power rozpocząłem od płyty „Officium” Jana Garbarka z niestety rozwiązaną już z prozaicznych powodów wiekowości artystów grupy The Hilliard Ensemble. Ktoś powie, że to są nudy, ale według mnie, ta wydawałoby się monotonna muzyka, jeśli tylko podana jest

w sposób wywołujący ciarki na plecach, początkowo powodując pewne wyciszenie, w efekcie jest w stanie naładować moje akumulatory, do sprostania problemom życia codziennego. I zaręczam, działa na równi skutecznie, co dla co poniektórych mordercze dźwięki muzyki trash-metalowej. Ale do rzeczy. Przepięcie się z zestawu referencyjnego, zgodnie z oczekiwaniami skierowało przekaz muzyczny w opisywany kilka linijek temu świat lekkiego zagęszczenia dźwięku. Oczywiście nie był to efekt degradacji pakietu informacyjnego, choć jeśliby się chcieć przyczepić, a znam takich osobników, można by to tak nazwać, ale wyraźnie odczuwalne obniżenie środka ciężkości generowanej przez zestaw testowy muzyki. I tutaj dochodzimy do przedstawienia mojego chytrego planu rozpoczęcia właśnie od tej ECM-owskiej kompilacji. Cztery męskie głosy plus saksofony Jana Grabarka – na przemian sopranowy i tenorowy – tak podaną dawkę masy w dźwięku przyjęły z otwartymi ramionami. Co więcej, goszczące muzyków mury budowli sakralnej, również nie pozostawały dłużne, oddając fantastyczne na szczęście dla realizmu słuchanej muzyki nieco osłabione naturalnym odbiciem echo nisko osadzonych partii wokalnych i instrumentalnych. Ważnym elementem tego podejścia odsłuchowego był również fakt utrzymania sporego oddechu generowanych fraz dźwiękowych, mimo zwiększenia ich masy. Utrata zwiewności zabiłaby wspomniany efekt współpracy w tym przypadku realnych źródeł dźwięku z kubaturą pomieszczenia, a to jest tak samo ważny element całości projektu, co sama muzyka. Innym aspektem przywołanego materiału było rozlokowanie artystów na scenie. W tym zakresie mimo lekkiego przybliżenia ich w kierunku słuchacza, nie odczuwałem utraty jej czytelności.



Wielu melomanów lubi taką bezpośrednią prezentację, dlatego mimo, że lubię raczej hektary głębi za kolumnami, nie deprecjonowałbym takiego podejścia do tematu. Ważne, że gradacja planów i ich odstęp oddane były bardzo dobrze. Przyznam się szczerze, znam na wskroś tę płytę, ba byłem na dwóch z chyba trzech koncertów tych panów w naszym kraju i z uwagi na lekkie przekroczenie punktu „G” w ilości odtworzeń, ostatnimi czasy w napędzie ląduje ona dość rzadko. Ale gdy w założeniach przed-testowych kreuje się wizja kolejnego fajnego jej przeżycia, bez namysłu sięgam po nią na półkę. Tak też było i tym razem, co w konsekwencji zaliczam do zbioru bardzo udanych spotkań. Kolejna próba muzyczna przeniosła się w świat sztucznie generowanych dźwięków z grupą Massive Attack i jej krążkiem „Mezzanine”. Ten gatunek podobnie jak opisywana wcześniej wokalistyka zdawał się być wdzięczny za nieco bardziej dociążoną dawkę dostarczanego do kolumn prądu. Gdy trzeba masował wnętrzości, by innym razem ucywilizować nieco modulowaną komputerowo

wokalizę. Oczywiście, podczas słuchania tego krążka, w eterze międzykolumnowym kilka razy pojawiła się informacja o problemach mojego pomieszczenia odsłuchowego, ale nie mając pewności, jak widzi zapisane na płycie nuty sam artysta, nie mogę osądzić, czy to wina sprzętu, pomieszczenia, czy czasem muzyk nie przesadził z suwakiem na konsoli. Grunt, że wzmacniany przez set Passa materiał dawał wiele przyjemności. Ale to nie wszystko, co mam do zakomunikowania w sprawie dzisiejszego bohatera. Mimo zniechęcenia kilkoma porażkami innych testowanych urządzeń z materiałem grupy Percival zatytułowanym „Svanttevit” postanowiłem jednak sprawdzić, jak tę dawkę szatańskiej muzyki przetrawi nasz Amerykanin. Dziwne, a zarazem bardzo pouczające doświadczenie, gdyż ta niezbyt referencyjne nagrana, epatująca mało urozmaiconym basem i przekrzykującymi się nawzajem gitarami elektrycznymi i wokalistyką płyta, zabrzmiała całkiem dobrze. Na tyle dobrze, że nie mogłem o niej tutaj nie wspomnieć. Zestaw XA-30 i XA-100.8 tak umiejętnie dopalił z dobrą rozdzielczością dolne rejestry, że fajnie odseparowana stopa perkusji, nasycone gitary i dociążone głosy wokalistów były nad wyraz czytelne, umożliwiając tym sposobem, zrozumienie czasem wykrzyzanego tekstu. Tu należą się zasłużone brawa. Czyli jednak da się słuchać tego typu twórczości. I co ważne, poskromił ją uważany za misiówaty w swych poczynaniach z dźwiękiem producent. Tak więc nie radzę, bezkrytycznie powielać krążących w sieci prawd objawionych, tylko samemu sprawdzić, ile jest w nich prawdy i dopiero wtedy zabierać głos.

Na tym zakończę tę okraszoną w swych początkach lekkimi obawami natury zwiewności dźwięku przygodę z amerykańskim High Endem. Pewne ogólnie krążące na temat testowanej elektroniki niuanse brzmieniowe oczywiście się potwierdziły, ale jak dla mnie wyszło to in plus dla tego zestawienia. Oczywistym jest, że dla audiofilów kochających dźwięk w swej charakterystyce równej jak stół, jest drobny powód, aby kręcić nosem, ale nie wszystkim wszystko musi się podobać. Każdy odbiera muzykę nieco inaczej, dlatego oferta urządzeń jest taka szeroka i zróżnicowana. Prezentowany set z za wielkiej wody, dzięki zapasowi mocy nawet przez moment nie przestraszył się zaimplementowanej do napędu diabelskiej muzyki, zmuszając ją nawet, do pokazania ludzkiej twarzy. Cofając się do wcześniejszych tytułów płytowych tego testu, sygnalizowałem również, że w gatunkach bardziej cywilizowanych swym sznytem dopingował je, zwiększając przyjemność słuchania. Ale czy jest to zestaw dla wszystkich? Najpewniej nie, ale nie radzę skreślać go z listy tylko dlatego, że podąża za nim utarta opinia gęstego grania, gdyż jak pokazałem na trzech przykładach, wspomniane „dobro” nasza układanka może różnie przetrwać i nie zdziwiłbym się, gdyby był to bardzo pożądanym kierunek zmian na lepsze.

Jacek Pazio